Rozmaitości

Dnia 3. Kwietnia | Nr. 14. | Roku 1841.

DZIEDZICE PRZEKLĘCTWA.

Grzech jeden ciągnie wraz drugi za sobą,
Bo ciasno w łańcuch biorą się ogniwa,
Okropnie jedno za drugie porywa!

Szyller.

Któryż z podróżnych zwidzając Weronę, nie przechadzał się po spaniałych tarasach ogrodu *Giusti?*—Na górze, po prawéj stronie tegoż ogrodu, leżą gruzy twierdzy *St. Felice* i *St. Angelo*, bluszczem i dziką winoroślą umajone. Na węgłach pałacu Teodoryka, krwią niemiecką i francuzką zbroczone, siłą prochu porozsadzane, spoczywają olbrzymie baszt rozłomy. Pójdziesz okiem w odległość od strony *Monte-Baldo*, góry *Bolca* i wzgórza *euganejskiego*, ujrzysz pola bitwy pod *Rivoli* i *Montebello*, w dali zaś, pośród zielonego morza lasów, wypłynie ci wierzch kopuły katedry Mantuańskiéj. Nawet tuż u nóg swoich widzi podróżny pomniki dni wiekopomnych i miejsca z ważnych wypadków słynne. W pośród masy nieprzeliczonych domów, pomiędzy któremi słonecznym blaskiem połyskująca płynie Adyga, wznosi się nad wszystkie pałace olbrzymi amfiteatr, który jeszcze z rzymskich czasów w całéj swojéj okazałości zdrowo się ostał. Podziś dzień jeszcze widzisz tam jedne nad drugiemi wznoszące się szeregi siedzeń, podziś dzień jeszcze leżą tam w spój ujęte, z ciosowego kamienia ułożone płyty. Przenieśże się myślą w upłynione wieki, a ujrzysz jak się nawalny tłum ludu z womitoryjów sypie, jak na owym balkonie pretor obok Cezara zasiada, i słyszysz jak skazane na śmierć ofiary wszedłszy w arenę, do Cezara mówią: *»Morituri te salutant!«*—

Gdy zaś wzrok swój ku Weronecie zwrócisz, spostrzeżesz tam niepokaźny domek; atoli wspomnienia, które nieśmiertelny poeta z tém miejscem połączył, pamięć na boleści, jakich tu serca dwojga nieszczęśliwych kochanków doznawały, przebiły się silniéj przez noc zamierzchłych czasów do potomności, niż pamięć owych scen krawo zaszłych w cyrku. Sarkofag mieszczący w sobie zwłoki Julii, spoczywa w owym domku.

Jednakże, aby nam nitka przez niniejszą powieść bieżąca, w splocie rozmaitych wypadków nie zaginęła, należy nam zwrócić uwagę na budowlę nad samym brzegiem Adygi leżącą. Jestto z średniego wieku zamek dawnych książąt Werony, panów *della Scala.*—Gmach ponury, bez tynku z cegieł, w kształcie sobie właściwym zbudowany, swoją ogromnością okazały, wewnątrz ciemny, pełen zakątów, niezliczonych wschodów, dużych chłodnych komnat, długich bez końca kurytarzy, słowem, starożytny zabytek, dawnych swoich mieszkańców przypominający. Rzadko się zdarza, aby nam dzieje którego książęcego domu tyle zarazem zgrozy i świetności przekazały, a przecież, dziedzice *della Scala* tylko lat 128 Weronie panowali. Jestto upadek tego książęcego domu, który tu skreślić zamierzamy.

Działo się to w miesiącu październiku r. 1375, gdy w około pałacu władców Werony, straż długim łańcuchem była rozstawiona. Już czatniki z daleka upominali każdego jeźdźca, aby ubocznemi drogami miał się ku gościńcom, które przez *Piazza Bra* albo *Erbe* wiodły; osoby zaś o podal w małych grupach stojące, szeptały sobie domysł ten

do ucha: że coś ważnego w zamku się wydarzyło.

Dwóch mężczyzn, ile z ubioru widać było, należących do stanu niższych mieszczan, stało z uszanowaniem w niejakiém oddaleniu od żołniérzy, i z ciekawością poziérało ku głównéj bramie pałacu.

»Dałbym sobie palec uciąć, gdybym tylko z pewnością się dowiedział, co się tam stało!« rzekł z nich jeden uderzywszy się pięścią w biodro.

»Bądź pewien Gioachimo, że nie wiele dobrego!« odrzekł drugi, ramionami wzruszając.

»Głupiec z ciebie! Wszakże ja to sam sobie powiedzieć mogę« rzekł tamten. »Albożto od czasu, jak *Can Grande drugi* panował, aż go brat jego *Can Signorio* sztyletem przedziurawił, a od tego czasu znowu aż do teraz przed czterą tygodniami, gdy tenże znowu bratu Alboinowi głowę ściąć kazał, wydarzyło się co dobrego w tym domu? Może, iż ty za dobre to uważasz, że się ród ten dziki, między sobą szarpiąc i krwawiąc, nie ma dość czasu, by się do nas zabrał.«

»Zmiłuj się milcz! Jakież ty brednie prawisz mój Gioachimo«, odezwał się z trwogą poprzedni. »Toż nie widzisz, jak ten Niemiec z długą halabardą ciągle na nas oczy wytrzészcza? A jeżeli już gęby wstrzymać nie możesz, nie wyrywajże się przynajmniéj z takiémi opowiadkami w obecności spokojnego obywatela i rękawicznika z ulicy *Balbi*, który prócz krzyża małżeńskiego, ma jeszcze na karku dzieci sześcioro i kłopotu po uszy; a jeżeli już cię koniecznie gadać korci, strójże minę pokorną i pełną uszanowania, aby się zdawało, że chcesz *Viva Can Signorio della Scala!* całém gardłem wykrzyknąć.«

»*Corpo di Bacco!* Niech go tam wszyscy... to jest moje życzenie«; odrzekł drugi półgłosem. »Lecz co widzę? Ty chcesz odchodzić? Zostań tchórzu! — Uspokój się Paskalu! Ja wiém, co wiém.«

To rzekłszy przymrużył prawe oko, przycisnął je skazującym palcem, a wykrzywiwszy lewe, uśmiéchnął się szydersko.

»No, i cóż ty wiész Gioachimo?« zapytał Paskal z ciekawością.

»Źle z nim, bardzo źle!« wrzasnął mu w ucho tak głośno, iż ten z przestrachu, aby kto nie usłyszał, znowu się w około obejrzał. »*Can Signorio* posłał gońca do Florencyi z rozkazem, aby syn jego Bartholomeo jak najspieszniéj przyjeżdżał. Ztąd wnoszę, rozumiesz, że jest bardzo słaby.«

»Śmiészny z ciebie człowiek Gioachimo!« odrzekł Paskal wstrząsając z uśmiéchem głową. »Że książę swego syna, który już od dawna wyjechał, śpieszno w dom przywołuje, do czego rozmaite powody być mogą, z tąd twój rozum wnosi, że jest niebezpiecznie chory. Wszakże i drugiego syna Antonia, podobnież niéma w domu.«

»Właśnie dla tego kmotrze gamuło!« odrzekł tamten z nadętą miną. »Właśnie też to jest powód, na którym ja moje domysły opiéram. — Lecz prawda«, rzekł daléj z arystokratyczną miną, »ty mieszkasz tam o podal w Weronecie, i nie wiesz co się tu w stolicy dzieje. Nié masz żadnéj styczności z dworem, ja zaś co niedziela z niemieckim odźwiernym Christoforem, w małéj szynkowni tuż koło *Porta Bursari* wychylam sobie *fogliettę vino santo*, i tym sposobem otrzymuję jak najdokładniejszą wiadomość o wszystkich stosunkach dworskich. Czasem także Christoforo do mnie przychodzi. —«

»*Eh!*« przerwał mu Paskal mowę przeciągłym głosem, którego Włosi tylko przy wydrwiwaniu używać zwykli. »Ludzie mówią, że Christoforo tylko w tedy do ciebie przychodzi, kiedy ciebie w domu nié ma, i tylko twoja go żona sama przyjmuje. Więc na taki sposób, może twoje wiadomości masz z drugiéj ręki.«

»To jest wierutne kłamstwo!« rzekł Gioachimo z gniewem. »Nie tak ją się łatwo dam na rogacza wystroić, a tém bardziéj jeszcze takiemu niemieckiemu niedźwiedziowi; a z resztą, znam ja dobrze moję Nazarenę. Przecież piérwsi *Nobiles* na tę jagódkę z smakiem poglądali, jak np. młody Skarpa, otyły Pellegrini i *Signor* Maffei, który bardzo młode kobiétki lubi — ale wszyscy z kwitkiem poszli. — Moja Nazarena, to szczére złoto! złoto jéj symbolem!«

»O, wierzę!« odrzekł Paskal, chociaż mina jego nie zgadzała się bynajmniéj z tém

zeznaniem. »Ludzie jednak wydziwić się nie mogą, zkąd ty robieniem czapek tyle sobie uzbiérać możesz, że nietylko przepysznie swoję żonę stroisz, ale nawet masz dosyć czasu do zbijania bruku w *Piazza Bra* albo w *Porta Bursari*. Ale cóż mnie do tego? Nazarena twoja, jest jak ty sam powiadasz, cnotliwa, i jak ludzie mówią, ładna, a nadewszystko bardzo grzeczna kobiéta, i zapewne jestto tylko zawiść, która z tych ludzi się odzywa.«

»Słusznie, bardzo słusznie mój kumie«, »teraz mówisz, jako rozsądny człowiek!«

»Bądźże i ty takim, i opowiédz mi, jaki związek może mieć słabość *Cana Signoria* z powrotem *Don* Bartholomea?«

»Rzecz ta, zaraz ci się wyjaśni!« odrzekł Gioachimo. »Na domie dziedziców *della Scala,* spoczywa już od dawna przeklęctwo.«

»Jako, przeklęctwo?« przerwał mu tenże mowę z największą ciekawością.

»Nie inaczéj, przeklęctwo, które to sprawia, że brat brata albo zabić albo zdradzić, albo téż na jego życie nastawać musi!« rzekł czapkarz z wielką tajemnicą, nie dawszy sobie przerwać mowy. »Przeklęctwo to pochodzi jeszcze z czasów Mastyna piérwszego; niewiadomo, co do tego przeklęctwa powodem było, nawet Christoforo, który tę rzecz od książęcego pazia słyszał, nie mógł mi o niéj dokładniejszéj dać wiadomości. Ale że ta rzecz jest niezawodna, zaraz sam się przekonasz. Mastina piérwszego zabiło cztérech skrytobójców; oto masz piérwszą zdradę; mówiono bowiem, że brat jego Albert, który po nim rząd objął, w porozumieniu z zabójcami zostawał. *Can Grande* piérwszy, postanowił rządcami, swojego brata Alboina synów, a ci wywdzięczając się za to, powsadzali czémprędzéj do turmy dzieci jego, które miał z nieprawego małżeństwa. Frignano nieprawy syn Mastina drugiego, knuje spisek przeciw swemu prawnemu bratu, panującemu księciu *Canowi Grande drugiemu.* Ten uderza nań jako na swego wroga, a Frignano tonie w Adydze. *Can Signorio* zaś teraźniejszy nam panujący, zabija własną ręką *Cana Grande.*«

»Aj strach! prawdęż mówisz?« odezwał się Paskal zdziwiony.

»Otóż! nie dosyć na tém«, rzekł czapkarz. »Cóż się stało z Alboinem, tym prawie na umyśle obłąkanym bratem księcia? Rzekłbyś, iż ten już nie mógł być niebezpiecznym. I owszem. Ten podniósł bunt, a przynajmniéj mówiono, że chciał bunt podnieść na brata. *Can Signorio* głowę mu ściąć kazał.«

»*Santa Madonna!* Wszystko prawda, co mówisz«, rzekł Paskal z zadziwieniem. »Atoli podróż i powrót Bartholomea....«

»Nawet tę rzecz wyświécił Christoforo mojéj żo... chcę mówić, mnie wyświécił—« rzekł poważnie czapkarz. »Wiadomo ci, że książę nie ma synów z prawego łoża, tylko dwóch przybocznych. Antonio i Bartholomeo są bliźniaki, a książę, który nikogo w świecie nie lubi, ma ku tym synom od ich urodzenia, szalone przywiązanie. Dla tego postanowił, aby oni po jego śmierci, Weronie spólnie panowali. Wychowanie ich było osobliwsze. Chłopcy musieli sypiać w jedném łóżku, pić z jednego puharu i jeść z jednego talérza; wszelkie dobrodziejstwa, wszelkie darunki, jakie dla jednego z nich były przeznaczone, otrzymywał je tenże za starannością ojca, z rąk drugiego. Książę zamyślił tym sposobem odkląć przeklęctwo i wkorzenić w braciach niewygasłe, wzajemne przywiązanie. Jakoż plan ten powiódł się mu zupełnie: obaj młodzi bracia kochali się tak mocno, jakto do tych czas w rodzinie dziedziców *della Scala* nigdy się nie zdarzało. Żaden z nich nie mógł żyć bez drugiego; wszystkie uciechy, wszystkie rozkosze spólnie z sobą dzielili. Teraz mają lat dwadzieścia i jeden, a ojciec był tego zdania, że już czas, aby się pożenili. A że obadwaj idą z nieprawego małżeństwa, przeto ojciec życzyłby sobie, aby z znakomitych rodzin obrali sobie żony, i tym sposobem starli skazę, która im w zakałę poszła. Jednakże, aby w żón wyborze żadna zawiść się nie wkradła, wysłał naprzód w podróż Bartholomea, a za jego powrotem, zaraz podobnąż podróż miał odbyć Antonio. Piérwszy z nich był teraz we Florencyi, lecz jak słychać, do tych czas nie znalazł dla siebie narzeczonéj, któraby mu podobać się umiała; nagle ojciec wysyła za nim gońca, i niemasz spełna dwie godziny, jak do domu powrócił.«

»A ty z tąd wnosisz?—«

»Że książę jest chory! śmiertelnie chory!« rzekł tamten nie dając towarzyszowi przyjść do słowa. »Gdyby godził na czyje życie, byłby powysyłał swych synów, podobnie jak wtedy, gdy Alboinowi głowę ściąć kazał. Nie życzy on sobie bynajmniéj, aby oni byli świadkami krwawych jego wyroków. Nawet wtedy, gdy w niełaskę popadniętych radców uwięzić lub z tego świata sprzątnąć kazał — to mówiąc zrobił Gioachimo minę pełną znaczenia—musieli chłopcy wprzódy na wieś wyjechać. Nie powinni oni nic ani widziéć, ani słyszéć o jego czynach. Teraz ich do domu przywołuje, straże otaczają pałac, widać oczywiście, że jest śmiertelnie chory.«

»Proszę cię Gioachimo, dla miłości *Madonny del Lago*, nie mów tak głośno«, rzekł Paskal lękliwie. »Niemiecki gwardzista nie spuszcza z nas oka.«

»Dla mnie wszystko jedno!« odrzekł Gioachimo zuchwale. »Jako? Albożto my nie jesteśmy Lombardami? Nie pobiliż nasi przodkowie Cymbrów o mil kilka z tąd pod Chiuzą, która z tego równie jak i z tłustéj, nérkowéj cielęcéj pieczeni podziś dzień jeszcze słynie?«

Ta śmiała mowa Gioachima, mimo bojaźni Paskala, nie byłaby pociągnęła za sobą złego skutku, a to szczególnie z tego powodu, że gwardzista nie najlepiéj umiał po włosku; ale duch rzymski, który się w Gioachimo odzywał, i sława jego naddziadów, zwycięzców dawnych Cymbrów, tak go mocno rozpaliły, że się nie tylko na twarzy zapyrzył, ale nawet zdawało się, jakby groźno machał rękami, co w niemieckim halabardniku mimo jego flegmy, żółć oburzyć musiało.

»Jak ty śmiész, ty psie chudy w obecności gwardyi książęcéj hałas wszczynać i po diabelsku gębę krzywić?« zawołał czatnik głosem basowym i ruszył ku obudwom pospiesznym krokiem. »Mnie się zdaje, że łotr ten waży się jeszcze pięść stulać! A do turmy z tobą, ty żabo-żércza, makaronowa, buntownicza gołoto!«

Głos ten był tak elektryczno-skuteczny, że obudwóch Werończyków od głowy aż do pięty przeniknął! Skoczyli z miejsca jak dwa zające harapnikiem sparzone. Paskal pognał co mu ducha stało przez *Strada Bella,* a Gioachimo, potomek sławnych wytępicieli Cymbrów, wstydząc się zapewne pójść kłusem, wskoczył przez otwarte okno do budy piekarza, z kąd się zatyłkiem na wązką, krętą uliczkę po-za *Piazza Bra* dostawszy, ile miał siły, ku domowi puścił.

Nie zdawało się jednakże, aby im tak wielkie groziło niebezpieczeństwo, gdyż gwardzista patrząc za nimi, śmiał się do rozpęku, i rzekłszy do nadchodzącego swego kamrata: »Patrzno Andrelu, jak tam te tchórze ni koty przed chartem zmykają!« wrócił znowu na swoje stanowisko.

Kiedy przed pałacem tak wesołe pojawiały się sceny, wnętrze jego zalégała cisza śmiertelna.— Kamienne wschody wyścielone były dywanami, a długie, ponure kurytarze, słomianémi matami. Straże rozstawione po różnych miejscach, trzymały albo halabardę u nogi, albo goły oręż w ręku. Dziś nie przechadzały się jak przedtém, dziś jak posągi okryte stalą, stały oparte albo o potężne sklepienia dźwigające słupy, albo w głębokich, wązkiemi oknami oświetlonych framugach.

W odległéj stronie pałacu, niedaleko okrągłéj wieży narożnéj, u któréj podnóża rwiąca toczyła się Adyga, była dosyć duża sala, do któréj przez małe, kolorowe szyby, tyle tylko światła wpadało, ile niezbędna potrzeba do rozeznania przedmiotów, koniecznie tego wymagała. Po gładkiéj, czarno i żółto nakrapianéj posadzce przechadzało się ręka w rękę dwóch młodzieńców jednego wzrostu i wieku, którzy teraz zatrzymali się na wyższéj części sali, gdzie olbrzymi przez sztukatora wyciosany pies, jako symbol miłośnika okazałości *Cana Grande,* w ścianie był umieszczony. Obadwaj młodzieńcy byli do siebie nadzwyczajnie podobni tak co do budowy ciała, jak i ogładnego zachowania się. Obadwaj mieli piękną, smukłą kibić, szlachetne rysy twarzy, smagławą płeć i ciemny włos kędzierzawy; tylko wyraz oka u jednego był śmielszy, dumniejszy, niż u drugiego.

»Sądzisz więc, iż nié ma żadnéj nadziei?« zapytał jeden z nich, po którego ubiorze poznać było, iż właśnie przybył z podróży.

»Żadnéj mój Bartholomeo!« odrzekł drugi wstrząsając głową. »Lékarz go odstąpił.«

»Widziałżeś się z ojcem«, zapytał piérwszy.

»Zakazał, nie wolno mi ani z nim mówić, ani chodzić około niego, aż pokąd ty nie przyjedziesz.«

»Co za dziwactwo!« rzekł piérwszy z bolesnym uśmiéchem. »Zawsze jeszcze obawia się, aby jakowa łaska lub przychylność wyświadczona jednemu, nie obudziła w drugim nieprzyjemnego wrażenia! O mój Antonio! Jestże co tak dobrém, pięknem, spaniałém na tym świecie, czémbym się z tobą z ochotą nie podzielił? Gdyby tylko raz mi wydarzyła się sposobność jaka okazania ci, jak szczérze ciebie kocham, jak wszystko z tobą dzielić, a nawet krew moję za ciebie przelać pragnę!«

»Mój Bartholomeo! Alboż ja o tém nie wiém?« rzekł Antonio z zapałem, podając bratu rękę. »Mógłżebyś ty inaczéj czuć, jak ja czuję? Nie

spoczywaliżeśmy obadwaj w jednym czasie pod jedném sercem macierzyńskiém? Mieliżeśmy kiedy różne życzenia albo różne skłonności? Jestże jakie szczęście na téj ziemi, któreby nas — nie mówię już poróżnić — ale tylko na chwilę obojętnymi uczynić zdołało?«

»Zapewne, że nie!« odrzekł Bartholomeo łagodnie. »Jabłko niezgody, które dotychczas w naszéj rodzinie przez kłótnie o samowładztwo tyle nieszczęść zrządzało, straciło u nas pochutną moc swoję. Cokolwiek bowiem ojciec postanowił, ja ci z ochotą odstępuję praw do korony mojéj.«

»Niech przekleństwo spadnie na głowę moję, jeźli na to kiedy zezwolę!« odezwał się z zapałem i z gniewem w oku Antonio. »Jeźli ojciec nasz ciebie na samowładcę przeznaczy, ja chętnie jako wazal ugnę przed tobą kolano moje: w każdym innym razie spólnie panować będziem.«

»Tyś na monarchę zrodzonym mój Antonio!« rzekł Bartholomeo, objąwszy z czułością za szyję swego brata. »Wierzaj mi, jam niezdatny do panowania. Z tobą rzecz się ma inaczéj. Twój mocny, twardy umysł wytrwa niezachwianie na téj pełnéj ciernia i trudu drodze; jabym w niedługim czasie nległ niezawodnie. Celem życzeń moich jest skromne, ciche, domowe życie na wsi pośród natury, pod pięknem niebem naszém. Choćbym nawet co do imienia, z tobą razem panował, przecież zawsze byłbym tylko twym cieniem, a to małoby ci pomogło, a więcéj jeszcze szkody przyniosło.«

»A przecież bracie sam przyznasz, że to jest jedyny środek, którym na przyszłość żalowi, zobojętnieniu serc naszych i wszelkim owym nikczemnym poduszczeniom usłużnych dworzan, na zawsze zapobiédz możem«; rzekł Antonio z żywością. »Nie, bracie. Nie wspominaj więcéj o tém. Pozostańmy przy dawniejszém, dobrze rozważoném postanowieniu naszém. Cokolwiek ojciec postanowi, my spólnie rząd prowadzić będziem. — Dałeś mi na to swoje braterskie, książęce słowo, a ja cię od niego nie uwolnię.«

Bartholomeo chciał mu właśnie odpowiedzieć, gdy im trzecia osoba wnijściem swojém rozmowę przerwała. Byłto słusznego wzrostu, w ciemnym ubiorze starzec, który bocznémi drzwiami wszedł do sali.

»A *Signor* Bevilaqua!« rzekł Antonio. »Jakże się ma nasz ojciec? Czy można go odwidzić?«

»Książę życzy sobie mówić z wami, szlachetni panowie. Ja sądzę, że on jutra nie doczeka«; odrzekł ozięble z zmarszczonêm czołem starzec.

»Czy mocno ciérpi?« zapytał Bartholomeo do żywego wzruszony.

»Co do ciała nie bardzo«; odrzekł tamten posępnie.

»Lecz co do duszy, nieprawdaż?« zapytał Antonio.

»Dopóki ma przytomność umysłu, mocny duch jego jest nieugięty, atoli obrazy, które w gorączce po przed duszę jego idą... Młodzi panowie«, rzekł smutno starzec, ująwszy obu młodzieńców za ręce: »doświadczyłem ja niemało pośród grzmiących trąb w wojnie z Gwelfami, nasłuchałem się ważnych rzeczy w salach sądowych i świetnych komnatach książęcych, ale przy łożu ojca waszego, nauczyłem się czegoś, co mi piérwéj ani w myśli nie postało! Jakoż i wy weźcie sobie w głęboką naukę to wszystko, co słyszéć albo widziéć będziecie.«

To rzekłszy, otworzył starzec drzwi poboczne i skinął na młodzieńców, aby weszli. Młodzi książęta prowadzeni przez starca, przeszli kilka gmachów, nakoniec otworzył im drzwi do mało oświetlonéj komnaty, do któréj wszyscy trzéj weszli. Ta komnata była dość mała, ściany jéj były wykładane ciemną *boażeryją,* na któréj tu i owdzie wyzłacany pies był umieszczony. Obok dwóch okien, przesłoniętych jedwabnémi, złotem haftowanémi, różowego koloru firankami, prowadziły w prawo i w lewo drzwi do przyległych pokoi. Wisząca u powały lampa, rzucała drżące, niepewne światło. Prawie pół ściany całéj komnaty zajmował wielki pawilon z drogiéj, złotem wyszywanéj materyi, po którego cztérech rogach, duże z białych strusich piór ułożone czuby pływały. Skoro młodzieńcy weszli, dał się słyszéć chrapliwy głos z łoża: »Oddal się doktorze, chcę sam być z moimi synami i kawalerem Bevilakwą!«

Na te słowa młodzieńcy przystąpili do ojca, którego twarz gorączką płonęła. Rysy twarzy jego okazywały, że kiedyś był pięknym mężczyzną, jednakże namiętności różnego rodzaju, niezatarte piętno na nich wyryły. Skoro młodzieńcy zbliżyli się do łoża i ucałowali rękę ojca, zaraz tenże chwycił za puhar, z którego łakomo napiwszy się, pociągnął ręką po czole i oczach, jakby przemocą chciał w sobie przytomność umysłu utrzymać. A że ciągle jeszcze milczał, przeto Bartholomeo piérwszy mówić zaczął:

»Nie mogę ci ojcze wysłowić, jak mię mocno wiadomość o słabości twojéj....«

Cierpiący skinął ręką, by zamilkł. »Przestań, nie mów o méj słabości!« rzekł surowo. »Teraz tu o ważniejszą rzecz chodzi. Co mi życie, co śmierć! — Kazałem was przywołać dla udzielenia wam postanowień moich. Najprzód co do korony: Przeznaczyłem was na spólnych rządców. Już gdyście na świat przyszli, powziąłem

to postanowienie i zastosowałem do niego całe wychowanie wasze. W naszym rodzie weszła prawie w nałóg niezgoda i nienawiść braterska. Gdy *Can Grande* na tron wstąpił, już była między nim, mną i Alboinem nienawiść wkorzeniona; z wami inaczéj się stało. Nieustanną staranności, roztropną przezornością i mądrém postępowaniem powiodło się mi nareszcie uchylić od was to nieszczęsne przeznaczenie, które na każdym z potomków *della Scala* tak okropnie ciężyło. Wy się kochacie — nie prawdaż, synowie moi, że wy się jeszcze kochacie?«

W milczeniu, wzruszeni do żywego, ściskali się bracia. Tym widokiem zdawał się zachwycać starzec.

»Jestto po raz piérwszy, że się potomkowie *della Scala* ściskają w chwili, w któréj na tron wstępują!« rzekł do siebie ponuro. »Ale«, dodał głośno, »jakichże nie dołożyłem ku temu starań! Ileżto nocy nie przepędziłem bezsennie na rozmysłach: jakim wam sposobem ku temu drogę utorować! — Co ty tam mówisz o zabójstwie Bevilaqua?«

»Ja nic nie mówiłem dostojny książę«, odrzekł starzec spokojnie.

»Prawda! To mówił ten milczący człowiek, który tam — tam z głową pod pachą po pokoju chodzi. — Lecz to jest przywidzenie — mara, skutek choroby, która mię trapi!« — —

»Nie inaczéj dostojny książę«, rzekł westchnąwszy Bevilaqua.

»Gdy się z tym światem rozstanę«, rzekł spokojniéj chory, »poślijcież natychmiast do Galeotty Malatesty i margrabiego Ferary, równie jak i do Franciszka Carrary w Padwie. Oni przyślą wam potrzebne wojsko, aby was Wiskontowie uzbrojonymi zastali. Wy zaś kawalerowie Wilhelmie Bevilaqua i Tomaszu Pellegrini, będziecie przy moich synach tajnymi radcami, a ja nakazuję im, aby nic bez waszéj rady nie przedsiębrali.«

»Spuść się na to, mój ojcze, stanie się podług twego rozkazu«; odrzekł Bartholomeo z pośpiechem.

»Tajemnica, którą wam oznajmię«, mówił daléj książę, »dotyczy się przeklęctwa, które na naszym rodzie ciężży.«

»A więc ta straszliwa wieść....« odezwał się Antonio.

»Jest na nieszczęście prawdziwa!« przerwał mu mowę ojciec. »Za naszego naddziada Mastina piérwszego, wydarzył się przypadek, który różnie opowiadają; jednakże wszyscy się w tém zgadzają, że pewien na śmierć skazany, rzucił klątwę na ród *della Scala*. Podanie to byłbym za baśń poczytał, gdyby mi pewien wypadek nie usunął był wszelkiéj wątpliwości. Gdy ojciec mój do zgonu się zbliżał, kazał do tego pokoju przywołać mnie z moimi bracmi. Oznajmił nam, że panowanie spólnie na nas przejść miało, i oświadczył, że te drzwi« — to mówiąc, wskazał chory na drzwi po prawéj ręce — »wychodzą na długi kurytarz, a ten prowadzi do sklepionego skarbcu, którego od czasu śmierci Mastina piérwszego, nigdy nie otwiérano. Pradziad nasz«, dodał, »złożył tam skarb wielki, a umiérając rozkazał, aby każdemu potomkowi *della Scala* przedłożono przysięgę: że gotów będzie najmilszą rzecz, nawet koronę i życie swemu bratu poświęcić. Znajdzie się między nimi dwóch albo i więcéj braci, którzy tę przysięgę wykonać zechcą, wolno im będzie otworzyć skarbiec rzeczony, i skarbem się podzielić; jeżeli zaś z nich tylko jeden wzbraniać się będzie, natenczas ten skarbiec zamkniętym pozostanie; to samo nastąpić ma, gdy tylko jeden mezki potomek z familii *della Scala* istnieć będzie; jednakże gdyby tenże był bezdzietnym, wolno mu na przypadek śmierci i wygaśnięcia rodu, rzeczonym skarbem rozrządzić. Fałszywa zaś lub pod warunkiem wykonana przysięga albo przemocą uskutecznione otworzenie skarbcu, pociągnęłoby za sobą upadek naszego domu i nagłą śmierć krzywoprzysięzcy.«

Długiém natężeniem osłabiony, przerwał książę swą mowę i nastała chwila milczenia. Gdy znowu siły odzyskał, rzekł daléj:

»Skoro ojciec to wyrzekł, natychmiast *Can Grande* oznajmił otwarcie, że co jego osoby się dotyczy, skarbiec ten na zawsze zamkniętym pozostanie, gdyż on dla dobra kraju sam jeden panować zamyśla. Muszę wyznać, że *Can Grande* uczynił tylko to, co ja uczynić zamyśliłem. — Będąc jeszcze chłopcami, nie nawidziliśmy się nawzajem. Ja i Alboin podobnież nie chcieliśmy złożyć przysięgi. Lecz — cóż ja widzę — ? Ta okropna postać — znowu się mi pojawia — niesie głowę pod pachą!«

»Ojcze! — Kochany ojcze!« rzekł Bartholomeo lękliwie. »Upamiętaj się! Nie masz tu nikogo, jak tylko twoje dzieci i *Signor* Bevilaqua, wierny twój sługa.«

Książę wlepił osłupiały wzrok w mówiącego, potém drżącą ręką przytknął do ust kubek i napiwszy się, rzekł z wymuszoną spokojnością:

»Ja miewam sny bardzo dziwaczne; często nawet przy zdrowych zmysłach, od rzeczy gadam: to skutek mojéj choroby. Teraz, nim czas upłynie, chcecież złożyć przysięgę, którą właśnie wam wymieniłem?«

»Chcemy!« rzekł Antonio z zapałem, podawszy bratu rękę, którą tenże do swojego serca przycisnął.

»Przysięgnijcież«, rzekł ojciec nie bez wzruszenia, »że się jako bracia kochać będziecie, że jeden dla drugiego najmilszą rzecz na świecie, nawet koronę i życie poświęci.«

»Przysięgam na Boga i na mój honor!« rzekł Antonio.

»I ja na toż samo, że brata mego kochać nigdy nie przestanę i że dla niego koronę i życie poświęcić gotów jestem!« rzekł Bartholomeo łagodnie.

»Weźcież ten klucz, i otwórzcie ów skarbiec tajemny«, rzekł chory wyjąwszy z szkatułki na stoliku stojącej klucz zardzewiały. »A ty Bevilaqua, daj mi twoje słowo honoru, że przed nikim nic powiesz tego, coś tu słyszał.«

Starzec skłoniwszy się z uszanowaniem, ucałował rękę, którą książę mu podał.

»Idźcież teraz moi synowie!« rzekł książę wzruszonym, drżącym głosem. »Doznawajcie lepszego szczęścia niźli doznał wasz ojciec. Jeżli jeszcze doczekam widzieć słońce nazajutrz, to was każę przywołać; a jeżli nie—«

To rzekłszy, w milczeniu uścisnął ręce obudwóm i pożegnał się z nimi. — Obadwaj bracia ucałowawszy z płaczem ojca, wyszli z komnaty.

Następną noc spędzili na rozmowie, która minionych czasów i najbliższéj przyszłości się tyczyła. Nadszedł poranek, gdy właśnie kawaler Bevilaque wszedł do pokoju.

»Mamyż pójść? O, zaprowadź nas jak najprędzéj do niego!« rzekł Bartholomeo wyszedłszy naprzeciw rycerzowi.

»Władcami Werony są teraz Antonio i Bartholomeo!« rzekł Bevilaqua zgiąwszy w hołdzie przed nimi swe kolano.

»Umarł więc?« zapytali młodzieńcy z wykrzykiem żalu. — »Właśnie w téj chwili rozstał się z tym światem!« odrzekł starzec.

Z płaczem i w milczeniu rzucili się bracia jeden drugiemu w objęcie, a na twarzy rycerza, który dotychczas zdawał się być oziębłym, okazało się wzruszenie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Znany z kilku pism poezyjnych pan Józef Kalasanty **Pajgert**, wyda wkrótce *Bajki i wiersze różne*, w których odznaczają się mianowicie *Elegije*, na śmierć żony jego pisane.

Tygodniku rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją **T. W. Kochańskiego**, wyszedł Nr. 13. i obejmuje: 1) O płodozmiennem gospodarstwie. 2) O znamionach jagnięcych, podług których klasyfikacyję ich przedsięwziąć można. 3) Artykuł konkursowy i rozprawa o fabrykacyi cukru z buraków i t. d. (Ciąg dalszy.) 4) Korespondencyja.

Nr. 7. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez **Tomasza Kulczyckiego**, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Kilka słów o modach przez W. P. 2) Pieśń góralska, przez J. Korzeniowskiego. 3) Róża mogiły, legenda z XIV. wieku przez L.

Podole Wołyń Ukraina, obrazy miejsc i czasów, przez Aleksandra **Przezdzieckiego**. Tomów dwa. Sąto opisy miejsc, godniejszych uwagi w tych prowincyjach, brane po większéj części ze względu swej historycznéj przeszłości, którą autor dokumentami, czérpanemi z archiwów i różnych biblijotek, wyjaśnia. Żywioł historyczny przeważa w tém dziele, mianowicie w tomie piérwszym; lubo jak słuszna i o teraźniejszości nie przepomniano, i co dotąd jeszcze jest godném widzenia, dostało miejsce w tych *Obrazach*. Tak (w tomie piérwszym), że inne rzeczy pominę, opisany z erudycyją i wdziękiem *Wiśniowiec*, niegdyś książąt Wiśniowieckich teraz Mniszchów siedziba; tak w Czarnym-Ostrowie wspomniane arcydzieło Dominikina: *Komunija st. Hieronima*, za któryto obraz Stanisław August dawał ówczasowemu właścicielowi 5000 dukatów. Szczególnie dzieje znakomitéj rodziny Wiśniowieckich prawie wyczerpał autor i ciągle jeszcze do jéj historyi zbiéra materyjały, myśląc wystawić ją osobno w obrazach dramatycznych, malujących charakter wieków i narodowości. — W tomie drugim zabawne jest między innémi opisanie żyjącego do niedawna znanego dziwaka *Scibora Marchockiego*, który ubiérał się jak mędrzec grecki w purpurową togę, córki w stanie natury wychowywał, obchodził święta Cerery i t. p. czynił dziwactwa; z humorem skreślony *Jarmark w Jarmolińcach*; zachwycająca *Podróż po nad Dniestrem*; a zajmujące ze wszech miar dzieło to kończy przyjemny artykuł o *Ogrodach Miklera*, który r. 1790 przez księżnę Izabellę Czartoryjską z Anglii do Polski sprowadzony, mianowicie na Podolu, Wołyniu i Ukrainie kilkadziesiąt ogrodów założył, przerobił lub upiększył. Żyjący dotąd sławny ogrodnik ten a zarazem botanik, znalazł roku 1795 na Polesiu, nad brzegiem Słucza, nieznaną dotąd w Europie wonną pomarańczowego kwiatu roślinę, którą *Azalia Pontica* nazwał. — Kończąc tych słów kilka o powyższem, tak szacownem, bo rodzinne piękności i pamiątki opisującém dziele, dziękując za nie szanownemu autorowi, także tym wdzięczni jesteśmy, którzy go od pisania w języku francuzkim odwiedli: literatura polska zyskała w nim bowiem pełnego wdzięków i wiadomości autora, w którym szkodaby było dla krajowego piśmiennictwa straty tylu szczęśliwie nagromadzonych zasobów smaku i erudycyi. *S. J.*

Dramatyczny Noworocznik czeski, mieszczący w sobie wszystkie wiadomości tyczące się sceny czeskiéj, jéj aktorów, sztuk granych tak publicznie jako i prywatnie, z oznaczeniem tych, co na cele dobroczynne grane były; zamyśla w Pradze wydać pan Józef Kajetan **Tyl**, i wzywa wiadomych rzeczy, ażeby go raczyli ze wszystkich stron, gdzie na scenie po czesku grywają, potrzebnemi wiadomościami zaopatrzyć, przesyłając te do Pragi, do księgarni p. Pospiszyla. Zdałby się podobny *Dramatyczny Noworocznik* o **scenie polskiéj galicyjskiéj** donoszący, a mieszczący w sobie dzieje téj sceny w Galicyi, od najdawniejszych czasów aż do dnia dzisiejszego; byłobyto dzieło ciekawe i obchodzące powszechność, która tak mocne ciągłego zamiłowania w scenie narodowéj dowody okazuje, i dałby ten *Noworocznik* sposobność: oddania należnej cześci tak wielce zasłużonemu założycielowi teraźniejszéj sceny polskiéj we Lwowie, J. N. **Kamińskiemu**, jakoteż aktorom, którzy się mistrzowską grą odznaczywszy, dla sceny polskiéj zasługi położyli. *A...*

Jeden z najważniejszych wynalazków w tym wieku. Więc to jest rzeczą niezawodną, czemuśmy dotychczas wierzyć nie chcieli i dla dobra wielu ludzi, którzy przezto bez chleba pozostaną, obawiali się, aby machiny do składania druku nie wynaleziono. A wszelako można się było spodziewać, iż przez obchód rocznicy Gutenberga zwrócona uwaga na operacyję druku dotąd nie spocznie, pokąd nie osiągnie celu pospiesznéj metody składania czcionek. Toż w naszym wieku, w którym wszyscy chcą pospiesznie chodzić, jeździć i latać, ten pomysł miałby leżeć odłogiem? Machinę do składania druku już wynaleziono, a w Anglii, Francyi, w Prusiech, Austryi, Bawaryi i Rossyi już na nię przywilej uzyskano. I rzecz osobliwsza, iż znowu Anglik wykonywa to, co Niemiec wymyślił! Machina do składania druku pana Kliegla w Preszburgu, wyrównywa

zupełnie co do pomysłu machinie panów Young i spółki w Londynie, co większa, nawet ją przewyższa, gdyż jest oraz machiną rozkładającą, to jest, iż zbiór czcionek, które w sens złożyła, klawijaturową techniką swoją snowu rozbiera. Lecz ubogiemu człowiekowi temu zbywa na środkach! Węgrzy zaliczyli mu akcyjami po 10 złr. około 2000 złr. Ale te niewystarczyły, a Kliegel jak siedzi tak siedzi i dłubie ciągle nad swym modelem, gdy tymczasem Young już 60,000 złr. z własnego majątku w równoczesny swoj wynalazek włożył. Jest on razem z spółką naczelnikiem wielkiej przędzalni bawełny i lnu w Londynie i Antwerpii, i na rzeczoną machinę swoję uzyskał już wszędzie przywiléj swobody. W Berlinie przez pp. Brest, Gelpke i Kuckerling. Machina ta kosztować będzie około trzysta luidorów. Wykonywa robotę, która dziesięcin składaczy czcionek wymaga, za pomocą jednego człowieka, którego umyślnie do tej machiny wprawić trzeba.— Teraźniejsi składacze czcionek, do téj machiny na nowo wprawy nabywać muszą. Forma czcionek dozna niejakiéj odmiany, lecz być może, iż do machiny Younga także dotychczasowe czcionki się przydadzą. Teraz jedna tylko jest w tém niedogodność, że machina ta, tylko do składania jednego i tegoż samego pisma jest urządzona. Na liczby i inne gatunki pisma zostawiają się próżne miejsca, które potém w formach się dosadzają. Składacze czcionek później tkaczami pisma zwać się będą: albowiem p. Young, właściciel wielkich fabryk tkackich w Aberdeen i Inverness, teoryję warstatu tkackiego, do swojéj machiny zastósował. Zamyśla on jeszcze tego roku własnym kosztem wystawić egzemplarz swéj machiny w Lipsku, aby się Niemcy naocznie o jéj użytku przekonali. Skutki tego wynalazku dla literatury są nieprzeliczone. Książki potanieją, a w publiczności większa się chęć do ich kupowania obudzi. Lecz czyli przezto więcej się drukować będzie, wątpimy, gdyż powolność dotychczasowéj metody składania czcionek, do wydawania nowych płodów, bynajmniej nie była na przeszkodzie.

(Telegr. für Deutschland.)

Krytyka i publiczność. W jednym z piérwszych dni roku 1831, przypadek sprowadził pewnego sławnego francuzkiego autora do kupieckiego sklepu w Paryżu. Prawie w równym czasie weszła z nim także jakaś małego wzrostu, bardzo żywa brunetka, która w skromnej muszlinowéj sukience i wypłowiałym kapeluszu, zupełnie do gryzety podobną była. Wyjęła ona z pod tartanu pomalowaną w kwiaty szkatułeczkę i postawiła ją na stole. Kupiec wyliczył dwie pięć-frankowe monety, a dziewczyna oddaliła się, spojrzawszy na autora śmiałym, na poł smutnym a na pół tryjumfującym wzrokiem, ktory tak mocne na nim sprawił wrażenie, iż zapytał, jak się ta dziewczyna nazywa. »Nie wiém«, odrzekł kupiec obojętnie; »jestto jedna z moich robotnic, która ma wielki talent do malowania kwiatów, i jestem pewny, że wkrótce od kupców galanteryjnych bardzo poszukiwaną będzie.« W kilka tygodni tenże sam autor odwidził redaktora dziennika *Figaro* i zastał u niego nadmienioną brunetkę. Miała ona na sobie tenże sam skromny ubior i tenże sam kapelusz wypłowiały. Opowiadała w bardzo jenijalny sposób jakąś zabawną anegdotę, a wtenczas autor mógł się dokładnie jéj przypatrzyć. Była wysokiego czoła, jéj czarne oczy błyskały żywym ogniem, lecz wnet gasły i zostawiały ślady wielkiego cierpienia. Szlachetne rysy jéj twarzy znamionowały jakowąś wyższość umysłu. Skończywszy opowiadanie, ścisnęła poufale redaktorowi rękę i odeszła. »Jako!« zapytał autor zdziwiony, »toż wpan znasz tę dziewczynę?« — »Znam ją«, odrzekł redaktor, »ona maluje kwiaty dla kupcow galanteryjnych, pochodzi z znakomitéj familii, Rousseau był niegdyś sekretarzem u jednego z jéj przodków; ona zaś jest w nędzy; co trzeci dzień przynosi mi do mego dziennika lichę artykuły, a jeszcze lichsze kalembury, których przy najlepszéj chęci w mojém piśmie umieścić nie mogę. Sądzę, iżby romans stosowniejszym był dla niéj, gdyż pomysły jéj mają pewien polot romantyczny. Otoś«, rzekł daléj, pokazując na stole leżący ogromny rękopis, »przyniosła mi swe dzieło; nie wiele ono warte, jednakże sprosta wielu innym romansom, które świat teraźniejszy chciwie kupuje i łakomie połyka. Jako członek akademii, mógłbyś się wpan dla niéj o jakiego nakładnika postarać, a wypełniłbyś uczynek chrześcijański.« Autor, który będąc podeszłego wieku, i już od dawna nic do druku nie dawał, a tém samém u księgarzy nie bardzo był znanym, zaniosł manuskrypt do znanego krytyka Keratry i polecił mu go bardzo usilnie. Keratry przyrzekł ten romans przeczytać, i najpierwszym go księgarzom zalecić. W następnym tygodniu zeszli się znowu obadwaj literaci. »Odbierz też sobie tę ramotę!« rzekł Keratry zbliżając się do wchodzącego. »Romans ten jest gmatwaniną największych niedorzeczności. Powiedz autorce, aby pozostała przy malowaniu kwiatów i za jakiego poczciwego kramarza wydać się starała.« Autor odesławszy redaktorowi dziennika *Figaro* manuskrypt, uwiadomił go oraz co do słowa o danej odpowiedzi; że Keratry rękopis ten istotnie czytał, znając punktualność jego, ani wątpić można, a prócz tego poświadczała to rozsypana pomiędzy kartkami tabaka. I cóżto był za rękopis? Oto teraz tak uwielbiany romans: *Indiana*. A kto jego autorem? Oto sławna dzisiaj Georges Sand.—Nikt nie powié, że Keratry nié ma smaku lub bystrego dowcipu i że jest nieprzychylnym kierunkowi nowoczesnéj literatury francuzkiéj, a przecież sąd publiczności był inny!

Anglija i Francyja. Anglija od 153 lat, które przed rewolucyją w r. 1688 upłynęły, zostawała przez lat 65 z Francyją w wojnie, a ten stan wojenny kosztował sam 72 milijardów 535 milijonów franków, z których 51,725 milijonów podatkami, a 20,810 milijonów pożyczkami pokryto. W równym czasie chwiała się cena kwarteru zboża pomiędzy 40 a 115 frankami; podatek na ubogich od 12,500,000 wzniósł się do 147 milijonów. Od lat trzydziestu płaci Anglija procenta od długu państwa w kwocie 800 milijonów funtów szter. czyli 20,000 milijonów franków, nie licząc w to budżetu, który sam jeden tak wielkim jest jak nadmienione procenta.

Cesarz chiński rozmawiając z pewnym lékarzem angielskim, zapytał go, jak też w Anglii opłacają lekarzy. Gdy tenże opowiedział mu zwyczaj angielski, rzekł cesarz żartobliwie: »Co do mnie, ja się inaczéj z moimi lekarzami obchodzę. Mam ich czterech, i płacę im co tygodnia znaczne *salarium*. Gdy zachoruję, wtedy zapłata ustaje, aż dopokąd znowu nie wyzdrowieję, i wyznać muszę, iż choroby moje zawsze tylko krótki czas trwają.«

Pewien podeszłego wieku oficer w służbie Frydéryka II. mający piękną, młodą żonę, kupił sobie cug koni i dał swemu woźnicy róg, z tym rozkazem, ażeby jadąc, na nim trąbił. Urząd pocztowy zaniósł na to skargę do króla. W skutek tejże otrzymał oficer od króla następujące upomnienie: »Kochany mój pułkowniku! wolno ci mieć tyle rogów, ile ci się podoba, tylko nie używaj rogu pocztarskiego, bo to jest przeciw rozporządzeniom.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.